



Wanda Ganczarska

## Przez zieloną granicę

*Motto:*

*Miałem słoneczny gościniec  
i duży, jasny dom...  
Smutno jest sercu mojemu,  
smutno jest moim snom.*

*(J. Tuwim)*

*Chwilami myślę, że mam zamiast serca  
zepsuty zegar, który, choć czas płynie,  
na jakiej jednej, za mocno wykutej  
umilkł godzinie...*

*(Beata Obertyńska)*

### Prolog, czyli „Moje przedwojenne dzieciństwo”

Urodzona w roku 1930 miałam cudowne, promienne dzieciństwo w gronie licznej, kochającej się rodziny. Dziadkowie, zarówno rodzice mamy, jak i ojca, mieszkali w pobliżu. Związani od lat z pracą w kopalniach węgla mieszkaliśmy wszyscy blisko – dziadkowie przy kopalni „Paryż” Będzin, my przy kopalni „Flora” między Dąbrową Górniczą, a Gołonogiem. Odległości były nieduże, zwłaszcza że od pobliskiego „Redenu” biegła już linia tramwajowa aż do... Sosnowca, który znałam tylko z opowiadań dorosłych.

Ojciec był telefonistą, a potem urzędnikiem ekspedycji kopalni, ale całą resztę swego życia dzielił między ukochaną rodzinę a bardzo kochane harcerstwo. Był instruktorem Zagłębiowskiej Komendy Chorągwi w Sosnowcu, tamże redagował Dodatek Harcerski „Czuwaj” do Kuriera Zachodniego. Pisał wiersze, piosenki, gawędy harcerskie oraz doroczne „Harcerskie Szopki Zagłębiowskie”.

W Gołonogu od młodości prowadził ukochaną 39 Zagłębiowską Drużynę jako uwielbiany przez harcerzy „Komendant” – „Witeź”.

W czasie wakacji organizował wspaniałe obozy w górach za uzbierane przez KPH grosze, stwarzając najuboższym chłopcom szansę wypoczynku na świeżym powietrzu. My z mamą jeździliśmy też z nimi

na letniska do tak pięknych wsi, jak: Przyborów, Sopotnia Wielka, Łopuszna (ta w pamiętnym roku powodzi 1934!). Do lutego 1939 roku byłam jedynaczką. Tatuś pogodził się z moim istnieniem zamiast upragnionego syna chyba dopiero wtedy, kiedy zaczęłam wraz z nim dzielnie wędrować po górach. Od spływu Dunajcem w 1934 roku pamiętam wiele wspólnych wypraw na grzyby i maliny, a potem na Pilsko, Lipowską, Romankę pod Babią Górą. Nieraz szczupłą, długonogą dziewczynkę pod szczyt wyciągał pies, często też zmęczoną i śpiącą znosili na barana harcerze.

Z wiekiem byłam coraz lepszym „Wędruśm”, a ponieważ mamusia miała słabe serce i niechętnie się wspinała – zaczęliśmy przed nią spiskować. Ot, po prostu o świcie zostawialiśmy list: „Idziemy...”, a wracając na obiad przynosiliśmy leśne trofea. Pamiętam, jak na polanach czytaliśmy wspólnie „Księgę dżungli” – Rudygarda Kiplinga i „Winnetou” Karola Maya. Tatuś lubił się też modlić przy leśnych krzyżach i kaplicach.

Te wspólne wyprawy i wychowanie metodą harcerską spowodowały, że ojciec zaczął mnie traktować jak oddanego giermka, ale i partnera. Ja z kolei uwielbiałam go i byłam mu bezgranicznie oddana. Wiedział o tym.

Tak właśnie zapamiętałam nasze wspólne wejście w najtrudniejszy okres – na „wojenne ścieżki”, to zdecydowało o mojej przyszłości.

## Przed burzą

Było promienne, ciepłe lato 1939 roku. Mały, bo urodzony w lutym braciszek, wprawdzie odebrał mi prymat jako jedynaczce, ale też sprawiał wiele radości. Rozpieszczaliśmy go we troje przy pomocy dziadziusiów i cioc. Niepokój mój obudziło dopiero to, że zamiast wywieść nas w ukochane góry wraz z harcerzami, tatuś ulokował nas w pobliskim Okradzionowie. Było to zagłębiowskie letnisko wśród lasów, nad Białą Przemszą, w pobliżu Pustyni Błędownskiej. Młodszy harcerze mieli kolonie i biwaki w okolicy Dąbrowy G., starsi zostali przez swego „Komendanta” wciągnięci do Pogotowia Wojennego Harcerzy i pozostali na miejscu. Na wieży kościoła w Gołonogu umieszczono punkt obserwacyjny i przeciwlotniczy.

Przed wyjazdem byłam bardzo dumna, bo tak jak chłopcy dostałam od taty broszurki z rysunkami umundurowania i oznaczeń samolotów polskich i... niemieckich, które potem „studiowaliśmy” z kolegami, podśpiewując dziarsko: „Nikt nam nie zrobi nic!”... W szkole nauczono nas posługiwania się maskami przeciwgazowymi. Pod koniec sierpnia tatuś pożegnał się z nami wyjątkowo czule, zostawiając na wsi, a sam zgłosił się jako ochotnik do wojska w Maczkach.

1 września w promieniach wschodzącego słońca wybrałam się z córką gospodarzy, 14-letnią Jasią K. do lasu na maślaki. Ów las to niezbyt wysokie sadzonki sosnowe około 1 kilometra od domu. Ciszę lasu przerwał nagle ostry warkot nisko lecącego samolotu. Wybiegłyśmy na przecinkę, radośnie machając do pilota i... ręce nam opadły, a nogi pędem poniosły w gąszcz leśny.

Ten samolot miał niemieckie znaki – swastyki!!! Chwilę krążył ponad lasem i domami, niemal zahaczając o kominy, a parę minut później usłyszałyśmy kilka głośnych wybuchów. Okazało się potem, że to wróg zrzucił bomby na młyn w pobliskim Sławkowie, dając spokojnym wsiom znać o niecej napaści.

Tak właśnie brutalnie i gwałtownie zostało przecięte moje sielskie dzieciństwo, zaczęło się trudne dorastanie, choć miałam dopiero 9 (i pół) lat. Od tego też dnia zaczęły się troski dzielone z mamusią: gdzie jest tatuś – czy żyje? Czy nie jest ranny? W jaki sposób możemy wrócić do domu? Z dnia na dzień mimo niewielkiej odległości zostaliśmy odcięci od całej rodziny, przyjaciół, mieszkania. Największą troską mamusi stało się: co, u kogo i wreszcie za co zdobyć do jedzenia.

Gospodarze zrobili się skąpi i niechętni, ledwo trochę kaszy i ziemniaków odsprzedali. Dobrze, że braciszek ssał pierś mamy. Ja jednak dobrze pamiętam pierwszy głód i zapach boczków smażonego przez gospodarzy, mimo że zawsze byłam niejadkiem. Do tego przez wieś zaczęły ciągnąć kolumny aut, rowerów i pieszych – uciekinierów ze Śląska. Opowiadano straszne rzeczy o wkraczających Niemcach. Proszono o wodę i coś do jedzenia dla dzieci.

Przez kilka upalnych dni wraz z koleżanką i kolegą – letnikami z Zagłębia – stałam na zmianę przy furtce z wiadrem wody i kubkami. Taka była moja pierwsza wojenna służba.

W pierwszym okresie, tj. od 1 do 10 września, słychać było kanonadę od strony zachodu (Maczki, Olkusz, Ząbkowice), potem odgłosy te się oddalały, dochodziły od wschodu i południa. Na początku października o bladym świcie ktoś zapukał w okno naszego letniego pokoiku. Dziwne, bo pierwszy obudził się, skacząc radośnie, półroczny Lulunio. To był tatuś! Jakże jednak zmieniony! Zarośnięty, wychudły i blady, a skarpety miał przyklepione krwią do stóp. Po wstępnych radosnych uściskach mamusia grzała wodę w wiadrze, starając się odmoczyć i opatrzyć nieszczęsne nogi. Tatuś opowiadał o „szlaku bojowym” od Maczek aż po Sarny, o tym, jak życie uratował mu przyjaciel Gutek S., odkopując w porę z leja po bombie, o głodzie i biegunce po zielonych pomidorach z pól, o ludziach dobrych

i złych. Wracając nocą z Kresów do Zagłębia, przywędrował do naszego domu na „Florze”, a nie zastaw-  
szy nas – zasnął na ogromnej klamce drzwi wejściowych. Tak znalazła go służąca sąsiadów i skierowała  
do nas na wieś, tj. dod. 12-14 km! Po paru dniach odpoczynku i porad rodziców wynajętym wozem  
wróciliśmy do Dąbrowy. Zarówno rodzina, jak i mieszkanie ocalały, ale... Niemcy zajęli naszą szkołę na  
koszary. Miałam zacząć trzecią klasę, a teraz zbierano dzieci z klas od 1-4 razem i tak próbowano czegoś  
uczyć. Moi rodzice zareagowali prędko, dając mi lekcje w domu, a przy okazji dwu koleżankom,  
matematyki uczyła mnie starsza o 2 lata sąsiadka Wandzia, w zamian za lekcje polskiego i historii  
u moich rodziców (notabene po wojnie okazało się, że tatuś z miejsca włączył się w tajne nauczanie pod  
kierunkiem profesorów z Dąbrowy Górniczej i Będzina).

Raz w tygodniu chodziłam do tej zastępczej szkoły w gminie, ale wkrótce i ją zamknięto, uznając, że  
Polakom wystarczą podstawowe wiadomości i język niemiecki. Życie nasze normowało się, ale już  
w grudniu zaczęły się aresztowania i wysiedlenia wśród inteligencji zagłębiowskiej. Mama zaczęła szyc  
jakieś worki z kilimów – na pościel i ubrania w razie wywózki, wraz z babciami suszyła chleb i dalej  
karmiła brata mego piersią, mimo iż zaczął już wcinać zalewajkę. Tatuś oczyszczał teren z harcerskich  
dokumentów i zdjęć, mogących kogoś narazić (wcześniej ukrył sztandar). Pewnej nocy obudził mnie  
trzask ognia w piecu kaflowym – to rodzice palili kroniki. Tatuś płakał!

Mama ocalała część fotografii, które potem przetrwały u rodziny. Opowiedział nam ojciec tej nocy,  
że miał propozycję „Organizacji” przerzucenia przez granicę – chyba na Węgry, ale odmówił, bo „co by  
chłopcy o tym powiedzieli...”. W zamian zaproponował swego podkomendnego, Nuśka W, który dzięki  
temu ocalał.

## Moje „wojenne ścieżki”

Przypuszczam, że to ze względu na słabe serce mamusi tatuś mnie właśnie uczynił powierniczką  
swoich wojennych zadań a z czasem i pomocnicą. Znałam zarówno teren, jak i jego przyjaciół oraz  
młodzież harcerską, a i oni mogli mieć do mnie zaufanie, znając niemal od urodzenia. Już od jesieni  
1939 roku tatuś zaczął kursować dawnym szlakiem: Dąbrowa-Będzin-Sosnowiec, znikał z domu na  
wolne od pracy noce, coś przed nami ukrywał, wreszcie wciągnął i mnie „do konspiracji”, czyniąc mnie  
łączniczką.

Początkowo nie wiedząc, co noszę w książce „Schule und Haus” na dnie tornistra, wykonywałam  
polecenia, roznosząc jakieś papiery do określonych domów – głównie nauczycieli i harcerzy. Do dziś  
pamiętam nazwiska, a jeśli niezupełnie dokładnie adresy, to... mogę wskazać drogę, którą chodziłam,  
jeździłam na rowerze, a zimą na łyżwach. Dalej, w kierunku znajomych na Ksawerze lub Koszelewie,  
można było dojechać tramwajem, ale to było zbyt ryzykowne i... kosztowne. Pewnego dnia ktoś mnie  
niebacznie spytał: „jaka dziś składka?” i tak dowiedziałam się, że roznosząc gazetkę „Nasze Sprawy”  
i komunikaty radiowe, zbierałam też grosze na uwieczonych i ich rodziny. Po interwencji przerażonej  
mamusi na jakiś czas przestałam wozić gazetki – zastąpiła mnie mama, wożąc je w wózku braciszka!

Późną jesienią, 1940 roku tatuś obudził mnie o świcie, wołając przedwojennym zwyczajem na  
grzyby. Co dziwne, nie jechaliśmy pociągiem, lecz okrążając stację Gołonóg, wędrowaliśmy wzdłuż  
torów kolejowych w stronę Pogorii i Ząbkowic. Po drodze pukaniem w okno wywołaliśmy p. K (znałam  
go z kopalni). Szliśmy dalej razem, z tym że prowadził, rozglądając się bacznie, pan K. Mimo pękających  
chlebaków okazało się, że panowie nie mieli nic do jedzenia... Było zimno, mokro, rano był szron, więc  
skubiąc podmarzniałe jeżyny zostawiałam co jakiś czas na nasypie kolejowym, podczas gdy oni  
schodzili pod kolejne mostki. Tatuś polecił mi obserwować tor i okolicę, zwłaszcza ludzi. Wracając  
stwierdziłam, że torby opustoszały, więc z braku grzybów urwaliśmy trochę traw i gałązek na przepro-  
siny dla mamy. Pan K. został w lesie.

Wkrótce potem „odkryłam” na bieliźniarce w pokoju kilkanaście małych pomarańczowych pudełek  
(rolek), zażenowany tata tłumaczył, że to niespodzianki na Mikołaja. Dowiedziałam się potem, że to  
petardy, a po ich zniknięciu w okolicy nastąpiła seria drobnych wykolejeń niemieckich pociągów! Nasz  
piec kaflowy pochłonął jeszcze nocą – chyba w 1940 roku inną tajemnicę. Otóż po powrocie z nocnej  
zmiany tatuś przybiegł pachnący farbą czy denaturatem, sprawdził nerwowo zaciemnienie w oknach,  
rozżarzył ogień w piecu i wrzucił tam dość duże zawiniątko. Coś zżywieniem, ale szeptem opowiadał  
mamusi, razem się śmiali, przewietrzyli pokój przez balkon i poszli spać.

Około 8 rano wpadła podniecona moja przyjaciółka, Fela, opowiadając nam, jaki to wspaniały napis  
na murze zewnętrznym kopalni ktoś namalował nocą: „Niech żyje Armia Polska!” To pewno ktoś  
z Dąbrowy... domyślała się. Do południa pracownicy kopalni, a nawet „Turyści” z okolic podziwiali ten  
napis, zanim Niemcy się zorientowali i kazali zamalować. Farba była jednak olejna i jeszcze długo,  
nawet po wojnie, przebijała. (W późniejszych latach mamusia mi opowiedziała, że tatuś martwił się, że  
ostatnie wyrazy były mniejsze i trochę zamazane, ale w ostatniej chwili udało mu się skończyć  
i przerzucić kopalnianą drabinę przez mur). Byłam dumna!

W drugiej połowie 1940 roku rodzina nasza przeżyła jeszcze trochę radości. W lipcu odbył się zjazd rodzinny z okazji przyjazdu cioci Heleny, która jako szarytka pracowała w szpitalu olkuskim, a miała zostać przeniesiona do Miechowa w Generalnym Gubernatorstwie. Była to ukochana siostra taty, którą niby żartem zobowiązał do opieki nad nami w razie gdyby... Byli ich rodzice i rodzeństwo, w naszym ogrodzie robiliśmy zdjęcia wydobytych ze schowka aparatem fotograficznym. W grudniu była jeszcze Wigilia rodzinna i harcerska oraz próba „szopki”, a potem chrzciny zatwardziałego 2-letniego „pogannina” – Jureczka, który zbyt już długo czekał na chrzest w wolnej Polsce.

Po Nowym Roku w Zagłębiu zaczął narastać terror niemiecki i smutek polskich rodzin. W grudniu i styczniu aresztowano kilku bliskich znajomych i sąsiadów, wywieziono kilka rodzin. Do nas przychodziły po pomoc zapłakane panie, na przykład żona pana Walentego Z., którą rodzice pomagali i pocieszali. Przyjaciela i dowódcę taty, druha Pięcia R. aresztowano w maju 1940 roku. Po mojego ojca Gestapo przyszło do pracy w nocy z 25/26 lutego, aresztując go oraz dwu pracowników kopalni „Flora”, pan P. i pana C. Rano zawiadomiono mamusię, która mimo zapalenia płuc pojechała szukać męża. Trop prowadził do Sosnowca, gdzie chwilowo skoszarowano aresztowanych i tam przyjęto paczkę z odzieżą ciepłą i jedzeniem. Niestety, za parę dni przewieziono ich do obozu śledczego w Mysłowicach, skąd po 2 strasznych miesiącach pod koniec kwietnia tatuś znalazł się w Oświęcimiu. Zmarł 26 lipca 1941 roku. Zarówno z Mysłowic, jak i z Oświęcimia otrzymaliśmy po jednym liście pisanym własnoręcznie, potem jeszcze dwa – wolno było wysłać z Oświęcimia i otrzymać jeden list miesięcznie!

O wielkości mojego ojca i jego miłości dla rodziny świadczy przesłany z okrutnego obozu śledczego w Mysłowicach „gryps” o treści: „Przepraszam was za krzywdę”. A to stamtąd cyniczni oprawcy odesłali ubranie i jego buty – oficerki z przepalonymi podeszwami...

W liście z Oświęcimia prosi swą siostrę, zakonnice, aby mnie „zaprosiła”, oraz domaga się, abym dopisała się do listu mamy własnoręcznie. Obawiał się z pewnością nie tylko o los mój, ale i o znane mi kontakty.

Tuż po aresztowaniu ojca, zgodnie z jego wskazówkami, wraz z mamą zajęliśmy się likwidacją śladów: mamusia niszczyła papiery, ja wraz z sąsiadem panem M. przyniosłam radio ze słuchawkami, które było ukryte pod brykietami w naszej komórze – sąsiad rozebrał je i porąbał. W nocy z mamusią wyjęliśmy schowane na strychu drzewce sztandaru harcerskiego (ten był u dziadków) oraz tablicę pamiątkową, pełną „gwoździ” z nazwiskami. Po porąbaniu i one zostały spalone. Rano obiegałam znane mi adresy. W dzień przeszkadzał nam nic nie rozumiejący i poszukujący taty maluch, który płacząc chodził od okna do balkonu, tłumacząc nam i sobie, że „tatu Nuna juko pikę”, co znaczyło „tatuś do Jurka jutro przyjdzie”. Była rewizja, ale pobieżna i nieskuteczna, tyle że mamusia zdążyła schować... za biustonosz znaną przed chwilą lampę radiową! Kazano nam się wkrótce wyprowadzić i zostawić firanki, dywaniki i obrazy dla lokatora Niemca. Wieczorem, załadowawszy trochę niezbędnych rzeczy do dorożki, pojechaliśmy do dziadków – rodziców mamy, którzy już mieszkali we własnym domu w Dąbrowie. Liczyła mamusia na pomoc swego 29-letniego brata, wujka Janusza – niestety i tu zastaliśmy rozpacz – wujek tej nocy został aresztowany w kopalni „Paryż”! W całym Zagłębiu aresztowano ponad 200 osób – głównie członków Organizacji Orła Białego. Potem okazało się, że wujek i tatuś musieli się spotkać już w transporcie do Oświęcimia, gdyż mieli bliskie numery: 15 125 i 15 128, oraz udało im się dostać do tego samego bloku. Wiemy to jednak z jedyne listu wujka, gdyż rozstrzelano go pod Ścianą Śmierci już po 2 tygodniach pobytu w obozie – 15 maja 1941 roku. To musiał być ogromny cios także dla mego ojca, gdyż Janusz był jego wychowankiem harcerskim.

Nigdy już nie wróciliśmy do naszego mieszkania, tylko kuzyn wynajętą z kopalni platformą przywiózł nasze meble. Dziadziusiowie i ciocie przyjęli nas serdecznie, dając pokój dawniej stołowy w swym domu, na strychu i w piwnicach upchnęli resztę naszego dobytku. Chodziło wszak o wspólne przetrwanie – był luty 1941 roku i wiara w powrót naszych uwięzionych wraz z rychłą przegraną Niemców nie słabła.

Na razie najgorsze było to, że nikt z naszego domu nie pracował, a o uzyskaniu pracy jako „element politycznie niepewny” nie można było marzyć. Pamiętam, że jeszcze z Mysłowic tatuś przesłał nam zaległy kwit na 50 kilogramów ziemniaków, a wujenka otrzymała z kopalni trochę węgla. Paliło się nim w żeleźniaku, stojącym między kuchnią a pokojem. Zima była długa i ostra.

Jedna z ciotek była z zawodu modystką, miała główki – formy do kapeluszy, więc przy pomocy siostr zaczęła robić kapelusze i torebki. Mamusia dekorowała te wyroby kokardami, wycinankami itp. Torby (tzw. tasze) były robione na sztywnym preszpanie, obciążane materiałem, nieraz plecione ze sznurka. W tym czasie zaczęło się w domu farbowanie na czarno, bo wiele znajomych pań zamawiało czerń po stracie mężów i ojców w obozach. Piękne nieraz wyroby szły za grosze lub za żywność, ale i klientki były niebogate. Dziadzius zawsze hodował króliki, ale teraz zwiększył stadko ze względu na jedyne dostępne nam mięso i futerka, zwłaszcza dla wnucząt. Wiem, że babcia nawet za swój pyszny żurek, którym dawniej obdarowywała sąsiadki, teraz dostawała jakieś jajka lub tłuszcz. Kartki mieliśmy chyba tylko na margarynę i marmoladę. Jedyne pieniądze to emerytura dziadka.

Po pewnym czasie udało się cici Zosi zdobyć pracę w fabryce w Sosnowcu. Zarobek wprawdzie niewielki, ale dostawała kartki i obiady, które często przynosiła do domu. Mamusia na wiosnę zaczęła jeździć wraz ze znajomą do wsi Brzuchowice za Siewierzem na tzw. szmukielek. Był on dość ryzykowny, ale pozwolił przy zaopatrywaniu sąsiadów zarobić na ser, masło, kaszę dla rodziny. Jarzyny, zwłaszcza dla dziecka, czyli Jureczka, były w ogrodzie. Wydaje mi się, że wyjazdy mamusi i nasze po nią pełne niepokoju wyprawy do szosy wiodącej do Będzina trwały około roku (z przerwą).

W tym trudnym okresie dane nam było poznać prawdziwych i odważnych przyjaciół. Z tatusia rodziny tylko ciocia szarytka utrzymywała z nami bliski kontakt, babcia – mama ojca umarła w czasie jego pobytu w obozie, brat z pobliskiego miasta nie przyszedł nawet na mszę żałobną. Nie zareagowała także rodzina ze wsi Chruszczobród, u której mieliśmy się ewentualnie schronić.

Nie narzucaliśmy się, nie chcąc nikogo narażać, ale wiem, że ta przymusowa izolacja i omijanie naszego domu bolało wszystkich, a szczególnie mamusię. Tym bardziej więc docenialiśmy odruch serca i... odwagi u dalszych krewnych i znajomych. Tak na przykład, dowiedziawszy się o naszej sytuacji, moja i brata dawna niania zaczęła przychodzić, przynosząc jakieś rzadko widziane przysmaki. Wujek Ignas – owdowiały szwagier taty – przysyłał synów co jakiś czas z bułkami, gdyż pracowali w piekarni „nur fur Deutsche” (na Mikołaja dostaliśmy nawet ciastka!). Stryjeczny brat mamy przyniósł dla Lula konia na biegunach po swej córce i zaprosił mnie wraz z nią na wakacje do swej siostry do Siewierza. To była frajda po 2 latach braku lasu i świeżego powietrza! Zdarzyło się też kilkakrotnie znaleźć na progu kawałek słoniny, mąkę itp. To byli z pewnością harcerze! Wielu z nich było jednak aresztowanych lub wywiezionych na roboty do Niemiec. Zagłębie było osierocone!

Pragnęłam choć w tych wspomnieniach postawić skromny pomniczek mojej babci Amelii. Zawsze była kochająca i mądra, ale w tym najgorszym okresie była także najdzielniejsza i dokonywała cudów gospodarności. Mimo ogromnej rozpacz po stracie jedyne go syna, a potem zięcia (mego ojca), otrząsnęła się i ujęła ster rządów w rodzinie. Dziadzius był od niej starszy o 14 lat, miał wówczas około 80 lat, i po śmierci syna załamał się zupełnie. Babcia więc zdobywała i gotowała jedzenie dla 7 osób, uprawiała ogródek, robiła na drutach, a nawet sezonowo sztuczne kwiaty na groby, fabrykowała mydło. Słynne były jej „marcepany” z ziemniaków, pierniki z marchwi i marmolady i najrozmaitsze odmiany... zalewajki i prażuchów – wojenne przysmaki! Poza tym znajdowała czas na wysłuchanie ludzi i życliwe rady dla wszystkich. Była prawdziwą damą, bo nie tylko przestrzegła form *savoir-vivre*'u, ale nawet najuboższe pożywienie podawała zawsze na świeżym obrusie i ładnej zastawie. Sama jadła ostatnia, jak śmiał się dziadzius „skóreczki-delicje!”

## Babcia, Żydzi i „klejnoty rodowe”

Z babcią kojarzy mi się też sprawa wyzbywania się „klejnotów rodowych”, ale tu muszę wspomnieć naszych nieszczęsnych sąsiadów – Żydów. Przed wojną stanowili oni znaczną część mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego, szczególnie Będzin, gdzie w ich posiadaniu było około 90% sklepów. Dziadkowie byli klientami „magazynu”, którego właściciele obdarowywali nas na Wielkanoc pyszną macą (potem krótko ukrywali się u dziadków, ale to już po moim wyjeździe). W szkole miałam kilka koleżanek Żydówek, w okolicy „Flory” mieszkała raczej żydowska biedota i drobni rzemieślnicy. Blisko domu dziadków między Dąbrową a Będzinem była cegielnia Fischlów, z których seniorką babcia bliżej się znała przed wojną – miały dzieci i wnuki w tym samym wieku, obie kochały kwiaty i książki. Pamiętam, jak w okresie tworzenia getta pani Fischlowa prosiła babcię o przyjęcie cenniejszych rzeczy na przechowanie, ale babcia, bojąc się rewizji i utraty cudzej własności, skierowała ją do sąsiadki pani M. Do dziś mam przed oczami obraz siwiutkiej „babci Fischlowej”, wędrującej po okolicy z narastającym w oczach obłędem. Nie wiem, gdzie i kiedy zginęli, ale nigdy nie wrócili.

W 1941 roku zaczęłam wraz z babcią odwiedzać jej dentystę (technika) – Żyda mieszkającego na Koszelewie II, koło remizy (dom ten stoi do dziś).

Babcia wносиła do niego co jakiś czas ocalałe, ukryte za cegłą w pralni „klejnoty rodowe”. A że ród nie był zbyt bogaty, to do spieniężenia były, jak pamiętam: dziadka zegarek, babci, mamy i cióć pierścionki, jakieś broszki. Najpiękniejsze były jednak kolczyki z turkusikami przeznaczone dla mnie i te jednak zimą 1942 roku trzeba było oddać. Dołożyłam do tego złote pióro od wujka Janusza i dlatego chyba pamiętam do dziś, że uzyskaliśmy za te rzeczy od „pana Żyda”... worek ziemniaków i 2 bochenki chleba!!! Ciągając te ziemniaki na sankach wraz z 12-letnim kuzynem w zady mce śnieżnej wieczorem, wpadliśmy w zaspę na szybiku i zgrabiłymi rękami zbieraliśmy rozsypane „grule”. Ale za to jak potem smakowała z nich zalewajka i „pączki” z nich pieczone w popielniku! „O zalewajko! Ty zup królowo, kto cię nie jada, nie chowa się zdrowo. Jakaś ty miła, jakaś ty wonna! A gdyby tak z kiełbasą... O nadziejo płonna!...” Autor tego poematu wojennego zasłużył na Nobla... kartoflanego.

Już od jesieni 1942 roku zaczęli Niemcy wywozić dzieci i młodzież ze szkół na kopanie ziemniaków i inne prace polowe do bauerów w Rzeszy. Zajeżdżały ciężarówki na zaplecze szkół, ustawiano według

wzrostu i co starsze lub wyglądające na silne i zdrowe, zwłaszcza dziewczęta zabierano. Wtedy właśnie rodzina podjęła decyzję o konieczności wysłania mnie do Niechowa. Przy pomocy „Organizacji” ciocia szarytka zdobyła przewodnika, który miał mnie odebrać i przez zieloną granicę przeprowadzić do Generalnego Gubernatorstwa. Nastąpiło to 12 lutego 1942 roku i jest to dla mnie niezatarte wspomnienie.

...Wczesny ranek, ciemno – tuż po godzinie policyjnej. Idę szybko z mamusią około 2 kilometry do stacji w Dąbrowie Górniczej. Słyszymy śpiew „hajli-hajlo” i mocny rytm wybijany buciorami „werkszuców”. Mama po odprowadzeniu mnie musi zdążyć do pracy w fabryce, gdzie od niedawna pracuje.

Na prawie pustym peronie jakiś szaro ubrany pan zamienia z mamusią parę słów i bierze mój bagaż – chyba tornister szkolny. Nadjeżdża pociąg, krótkie pożegnanie – mama zostaje w mroku i mgle. Obu nam lzy przesłaniają oczy. W drodze już widzę z pociągu dach domu mojego szczęśliwego dzieciństwa, kościół na górze gołonoskiej, cmentarz.

Przed Olkuszem pan bierze mój bagaż i wysiadamy. Na dworcu ostra kontrola kobiet z tobołkami (z boku stoi kojec, do którego wrzucane są kury, gęsi itp.), my przechodzimy bokiem. Wędrujemy pieszo boczną drogą do wsi Zimnodoly, gdzie nagle wszyscy wędrujący rozpraszają się po chatach i stodołach. Niestety zniknął także mój „opiekun”. Obcy ludzie zabrali mnie do stodoły, w której przesiadaliśmy cały dzień. Wieś jakby zamarła, jeździła tylko na motorach niemiecka straż graniczna. Tędy bowiem, między Olkuszem a Wolbromiem przebiegała granica (zwana zieloną) między tzw. Rzeszą, a tzw. Generalnym Gubernatorstwem.

O zmroku na sygnał soltysa czy innego pośrednika, który zaprosił wartowników na wódkę (i być może łapówki!) droga przez las zarośla się od ludzi – było chyba około 200 osób – z plecakami, walizkami, sankami. I mnie wciągnął ten biegnący potok, a nogi, choć zmarznięte, same ruszyły galopem. Gdzieś mignął mój „przewodnik”. Po paru minutach słychać było strzały, ale potem mnie uspokojono, że to tylko na postrach, a szlak kuriersko-szmuklerski funkcjonuje tutaj stale.

Wpadłam do chaty we wsi Braciejówka, zachęcona przez parę z dwojgiem dzieci. Gospodarze dali nam stare koce i pozwolili spać na podłodze w kuchni. Jak pamiętam, nie udało mi się zasnąć w tę przełomową noc. Rozmyślałam o smutnym rozstaniu i niepewnej najbliższej przyszłości. Pocułam się samotna i skazana na samodzielne wzięcie się z życiem wojennym za bary. Doroślałam... Około godz. 4-5 rano odnalazł mnie pan R. mój „opiekun” i z nim już dalej wędrowałam w śniegu i mrozie przez zasypane pola około 12 kilometrów. Na nogach miałam filcowe bambosze i śniegowce, ale przemoczyłam i odmroziłam stopy. Ostatnie kilometry, po dojściu do drogi podwiózł mnie litościwy furman saniami. Z Wolbromia koleją do Charsznicy, tu przesiadka na wąskotorówkę, która utartym zwyczajem wysadziła „trefnych” pasażerów około 2 kilometry przed stacją, znów marsz o zmroku i... nadzieja, że będzie czekać kochająca ciocia i ulokuje w zaprzyjaźnionym domu.

Wkrótce do domu p. R. przysłała w skrzydlatym kornecie ciocia Helena, uścisnęła mnie serdecznie, coś tam dała „przewodnikowi” i zabrała mnie, tłumacząc, że do państwa Z., którzy deklarowali pomoc, iść nie możemy, dzisiaj przenocuję gdzie indziej. Zbliżyliśmy się do ładnego dużego budynku w stylu dworku, podniosłam głowę i z przerażeniem przeczytałam napis SIEROCINIEC. Bliska omdlenia i pełna żalu ledwo hamowałam szloch, ale ciocia z siostrą „Sercanką” wprowadziły mnie do sypialni i wskazały łóżko. To był mój pierwszy kontakt z taką ilością dzieci śpiących w jednej sali o 20 łóżkach! Ostatnie wrażenie tego dnia to chłód, czyli brak ciepła w sypialni i w sercu. To uczucie będzie mi towarzyszyć bezustannie w ciągu paru miesięcy.

Cóż, siostry może i chciały i robiły wiele, ale były surowe, zawsze z marsem na czole, oschłe i nieprzystępne. Nawet imiona zakonne były jakieś suche i oficjalne, trudne do przyjęcia przez dzieci np. s. Emmanuela „Mamela” Alodia, Alojza, Kornelia. Tylko ta ostatnia zwana „Karmelą” była młoda i miła, zawsze uśmiechnięta i coś nucąca – prowadziła bowiem chórek dziecięcy, grając na fisharmonii. Ponieważ przygotowywano się do dnia św. Józefa, włączyłam się ochoczo, śpiewałam nieźle II głosem i do dziś pamiętam te pieśni. Razem też śpiewaliśmy patriotyczne kościelne pieśni, np. „Boga Rodzico Polski Królowo...”

Oprócz sióstr sierocińcem opiekował się także ksiądz dziekan, rezydujący w pokoiku obok kaplicy. Był bardzo otyły, chyba z powodu choroby, miał nawet trudności z klękaniem przed ołtarzem. On to pierwszy i jedyny okazał mi serce. Rozmawiał o mojej rodzinie, przeszłości, a raz nawet z palcem na ustach zaprosił po mszy do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz i... zmusił do zjedzenia rogalika z masłem i wypicia kakao. Dawno niejedzone przysmaki wywołały przyływ apetytu i podratowały samopoczucie. Odtąd często zachodziłam do księdza, a jego dobroć była prawdziwym balsamem dla obolałego serca dziecka.

Siostry chciały traktować mnie „ulgowo”, ale ja w imię sierocej solidarności zaczęłam ze wszystkimi dziećmi uczestniczyć w zajęciach od świtu. 5.30 była pobudka, bo o 6 była msza w kaplicy (siostry miały drewniane klęczniki, my dzieci – posadzkę). Potem lekkie śniadanie i zbiorowe obieranie ziemniaków, karpieci itp. „przysmaków”. Tam zawierało się znajomości i przyjaźnie, był śpiew, ale też

placze i klótnie. Dzieci były bardzo różne: dawni, a może od urodzenia, wychowankowie, jak Kazika – ułomna, ale prawa ręka siostr 15 lat, Gienia 14 lat – lizus i pupilka, dwie miłe siostry Basia i Marysia M. z Warszawy (też spokrewnione z zakonnicą). Było kilkoro podrzuconych maluchów, być może żydowskich, którym siostrzyczki bez polotu i z wątpliwym poczuciem humoru nadały nazwiska: Zbysio Kupka, Franus Okienko, Hania Paciorek itp. Często przybywały nowe, ale dziwnie, jakby w znowiu, nie mówiły o sobie i rodzinach. Prócz stałego zawiesistego smrodku od kapusty i karpielei za najprzykreszejsze doznanie uważam wszy, które mnie także pierwszy raz w życiu „nawiedziły”. Na szczęście po ostrej, przykłej kuracji octem sabadylowym i wyczesaniu gęstym grzebieniem prędko je zwalczyłam przy pomocy siostry cioci. Miałam własną bieliznę, a teraz dostałam własną zamykaną szalkę.

Jedyną przyjemnością tego okresu była szkoła, gdzie zaczęłam chodzić do 5 klasy. Pan S. – wychowawca, tak pięknie czytał wiersze i miał odwagę mówić o Ojczyźnie! Lubiałam się uczyć, miałam dobre oceny i pomagałam młodszym dzieciom. Pod koniec roku szkolnego nasiliły mi się bóle kolan, zemściły się długie żarliwe modły na zimnej posadzce – dostałam wysięku w stawie kolanowym!

Bardzo zadowolona ze zmiany, choć cierpiąca, zostałam zaniesiona do szpitala, gdzie jako nielegalna zostałam umieszczona w schowku-magazynku i tylko późnym wieczorem odwiedzał mnie lekarz, próbujący mi pomóc. Były zastrzyki, smarowania i okłady, ale wreszcie uzdrowiła mnie siostra Eugenia, kąpiąc w wywarze z ziół... Ten okres pobytu w szpitalu był dla mnie bardzo miły, choć jedynym towarzyszem była wpadająca na chwilę ciocia, ksiądz prefekt S. I harcujące nocą myszy. Te właśnie gryzonie, a może któraś z najmilszych siostr szarytek, przyniosły mi... zarazek tyfusu brzuszego! To już była ciężka choroba z bólem, biegunką, bardzo wysoką gorączką aż do utraty przytomności. Pewnej nocy – przytomniejąc, zobaczyłam pochyloną nade mną ciocię Helenę i księdza z gromnicami w rękach i płynącymi po twarzach łzami... Przeżyłam w dużej mierze dzięki staraniom cioci, która siłą wlewała we mnie najpierw leki i masę płynów, potem odżywiała intensywnie. Nawet przytyłam co nieco, tylko straciłam warkocz – włosy zaczęły wypadać.

Ciocia była szczęśliwa, gdyż w tym czasie udało się sprowadzić moją mamusię z braciszkiem. Umęczona z kolei upałem i dźwiganiem dziecka i tobołka na zielonej granicy mama znalazła tymczasowy „dom” na moim łóżku w sierocińcu. Zdrowiejąc, jeszcze przed jej przyjazdem mieszkałam w schowku, ale jeździłam już z księdzem i siostrami do „chłopców z lasu”, którym pod pozorem wiatyków dostarczano środki opatrunkowe. Jak opowiadała potem ciocia, raz pod sianem przywieźliśmy rannego partyzanta, któremu musiano amputować nogę, ale przeżył. Cudowny, szlachetny ksiądz prefekt Ś., uciekinier z Kresów, od czasu do czasu przychodził do mnie pod wieczór odmawiać brewiarz i rozmawiać. Okienko schowka (zwanego zachowankiem) wychodziło na park i szosę wiodącą od strony Skalbmierza i Pińczowa, skąd właśnie w lipcu i sierpniu 1942 roku zaczęły ciągnąć kolumny furmanek pełne kobiet, starców i dzieci żydowskich. Młodszy mężczyźni szli obok. W pewnej chwili zobaczyłam, że ksiądz kreśli znak krzyża i lży mu ciekną po policzkach. I ja się rozplakałam. Wiedzieliśmy już, że jadą na stracenie w pobliskich lasach...

Z odzyskaną mamusią i dużym już braciszkiem (3 i pół roku!) spotkałam się po raz pierwszy w parku między szpitalem, a sierocińcem, ponieważ pobyt nasz był jeszcze półlegalny. Wkrótce jednak mama uzyskała nowe dokumenty, pracę, a wreszcie uzyskaliśmy... DOM!!

Miechów w tych latach stał się oazą i przytuliskiem dla wielu podobnych do nas uciekinierów wojennych z różnych stron Polski: ze Śląska i Zagłębia, Poznania, Bydgoszczy, Lwowa. Wielu osobom, często na „lewych papierach” udało się zatrudnić w biurach Starostwa i Związku Gmin (Gemeindeverband). O cudownej atmosferze koleżeńskości, pomocy wzajemnej w tej ostatniej instytucji, gdzie zaczęła pracować mama – należałoby napisać dużo więcej. Ja tylko wiem, że to dzięki takim wspaniałym nowym przyjaciom, jak p. Małgosia ze Śląska, p. B. ze Lwowa (Przemyśla?), inż. M. i kom. Straży p. G. (później stracony przez Niemców) udało nam się znów uwierzyć w solidarność Polaków i ułożyć życie. Przy pomocy „Organizacji” opiekującej się nami uzyskaliśmy własny dach nad głową, jak orzekł mój mały braciszek „pod żydowską stseczą”, czyli po wypędzonych Żydach. Była to oficyna, jedna z kilku w podwórku domu przy ulicy Pocztovej (dawniej Słowackiego) 3, front zajmowali folksdojczce. Domek składał się z małej sionki z klepiskiem, kuchenki i dużego pokoju. Był pusty!

Pamiętam pierwszą noc, to czułe objęcia mamy na siennikach, ale już w następnych dniach dobrzy ludzie zaczęli znosić pościel, garnki, a nawet meble. I tak ze Straży (pan G.) dano nam dużą prycę i 2 składane krzesła, przytaszczono jakąś szafę i stół kuchenny. Dostaliśmy czajnik i parę garnków oraz... bańkę na obiady z Caritasu, bowiem piec kuchenny był rozwalony. Na szczęście życzliwy i uczynny architekt p. M. zabawił się w zduna tak skutecznie, że za parę dni został zaproszony na pieczony w naszym piekarniku chleb! Było to bardzo wesołe przyjęcie, bowiem witaliśmy nowego współlokatora. Był to Witek, mój cioteczny brat, który uciekł z transportu do Oświęcimia i z Zagłębia, a teraz po zmianie nazwiska musiał się ukrywać przed wywiezieniem na roboty.

Wprawdzie na prycy zrobiło się ciasniej, ale Witek siedząc cały dzień w domu (w razie gości na stryszku) mógł popilnować dziecka i coś upitrasić, bowiem ja zaczęłam naukę na tajnych kompletach. W tym czasie u mnie rozwinął się skorbut, dentystka nie mogła plombować rozchwianych zębów,

dostałam jakieś smarowidło z jodem i zastrzyki, niemniej do końca wojny straciłam kilka zębów – to było dla mnie bardzo przykre!

Naszą sielankę rodzinną przerwała nagle inwazja rozmnożonych w podwórku szczurów. Zdarzało się nieraz, że do miski wystawionej dla kota zbiegało się ich całe stado, 10-12 sztuk, i to w biały dzień, a w domku zaczęły wygryzać dziury w podłodze. Za radą znajomych stosowaliśmy różne sposoby: zalepianie dziur cementem ze szkłem, sypanie otrąb na beczkę z wodą, stawianie ogromnych pożyczonych łapek – złowił się jeden, reszta buszowała dalej. Wreszcie po nocnym polowaniu, kiedy to bohaterski kuzyn w białym gonął rozjuszzonego, może podtrutego, szczura i zabił go... nad futryną, poddaliśmy się. Mamusia zamieniła „nasz” domek na pokój z gankiem na przedmieściu, a do szczurów przeprowadził się z liczną rodziną pan S. łowca piżmaków, posiadający podobno specjalne sidła. Tępił je dość skutecznie i odkrył, że gnieździły się w porzuconych gnijących skórkach dawnej garbarni. Zdołały jednak zarazić jakąś straszną odmianą tyfusu moją rówieśnicę Hanię S. i jej matkę, bo obie zmarły w mękach w ciągu tygodnia. Pani S. była częściowo sparaliżowana i Hanka wynosiła jej nocniki do ubikacji w końcu podwórka... Straszna była rozpacz osieroconego męża i ojca – zresztą kolegi mamy z pracy.

Teraz już we troje, bo kuzyn przeniósł się na wieś, mieszkaliśmy u p. G w pokoju z gancezkiem około pół roku, aż do ostrej strzelaniny na bliskiej szosie i straceniu rodziny organisty z sąsiedztwa przez rozjuszonych Niemców. Schroniliśmy się u kochanej p. Małgosi, która odstąpiła nam swój pokój na górze koło gimnazjum, sama przenosząc się „do bliskiego końca wojny” do swej koleżanki. Jako uciekinierka miała także... pryczę, którą nam zostawiła. Ucieszyłam się, bo mieszkanie było blisko „tajnej szkoły” i mojej przyjaciółki Danusi, z drugiej strony był szpital i ciocia – opiekunka.

Było lato 1944 roku. Tuż przed wybuchem powstania przyjechała do nas „na urlop” kuzynka, oczywiście z małą walizką i letnimi strojami... Tak została u nas. Po upadku Powstania Warszawskiego Miechowskie przyjęło dużą falę uchodźców i wysiedlonych, z których wielu trafiło do szpitala. Reszta rodziny – zdrowa czekała na ich wyleczenie, aby razem dostać kwatery na wsi. Tak do nas trafiła na prośbę sióstr szarytek około sześćdziesięcioletnia pani Helena z Milanówka, której siostra miała pozostać w szpitalu około 2 tygodni. Niestety trwało to o wiele dłużej i „pani z Warszawy” dała się nam mocno we znaki ze swoją „jaśnie pańskością”. Opowiadała ciągle o dobrobycie i salonach, do nas kierując pretensje i wymagając świadczeń, była wszak ekskgospodynią księdza! Wiem, że mamusia musiała bardzo panować nad sobą, świadcząc jej różne usługi i słuchając grymasów – wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, mogąc wyprawić na wieś uciążliwego gościa.

W tym czasie przez starsze koleżanki harcerki zostałyśmy z Danka Ł. wciągnięte na krótki kurs sanitarny i udałyśmy się do pomocy w szpitalu przy rannych i chorych. Szpital był przepełniony, wąskie korytarze wyłożone siennikami z młodymi i mniej chorymi, reszta leżała i niestety umierała w salkach. Naszym pierwszym zadaniem była zbiórka odzieży i bielizny osobistej. Od mieszkańców Miechowa, z RGO dostawaliśmy paczki z żywnością. Chodząc po salach i korytarzach, zadawałyśmy automatyczne pytanie: „Pan(i) z Warszawy?” Moja ciocia, siostra Helena, przydzieliła nam podopiecznych. I tak mnie – chciała, abym w przyszłości została lekarzem – przydzieliła paskudnie ranionego w udo – kilka dziur w pupie! – Zbyszka Rz. Dumnie pokazywał podziurawioną kulami legitymację AK, która schowana w portfelu na piersiach być może ocaliła mu życie. Początkowo byliśmy skrepowani niefortunnie ulokowanymi sączkami itp., ale potem zaprzyjaźniliśmy się z nim i jego przyjacielem, Arysiem A., którym opiekowała się Danusia. Zostawałyśmy chętnie dłużej, słuchając ich opowieści i śpiewając cicho, ale zgodnie piosenki przedwojenne i te najnowsze... Wkrótce znaleźli się rodzice i siostra (Basia) Zbyszka, bo Aryś rodzinę stracił! Zabrali podleczonego „rannego” do pozyskanej izby we wsi Bukowska Wola. Tam przy pomocy kolegów doniosłyśmy trochę garnków i pościeli. Epilog był taki, że po 2, 3 miesiącach nasi chłopcy wpadli, aby się pożegnać, gdyż w tajemnicy przed rodzicami szli do lasu – gdzieś na Kielecczynę! Rodzice Zbyszka wkrótce wyjechali i nie wiemy, czy wszyscy przeżyli wojnę... Nie przeżył z wycieńczenia cudowny, przemily p. inż. K, osiemdziesięcioletek, przy którego śmierci byłam wraz z kuzynką, a po wojnie wskazałyśmy grób jego rodzinie.

Na nowym mieszkaniu znalazłyśmy wspaniałych sąsiadów – uciekinierów z Olkusza: p. Wawrzyńca i jego syna Adama. Zaopiekowali się oni naszym babskim gospodarstwem: pomogli w zaopatrzeniu w węgiel i ziemniaki, a w zamian jadali u nas często obiady, zwłaszcza starszy pan. Młodszy bowiem pracował jako inkasent powiatowy w PZU (sądzę, że z ramienia „Organizacji”), bardzo często i chętnie jeździł w teren, wracając niejednokrotnie bez pieniędzy i... butów, co natychmiast zgłaszał na policji. Chłopcy z lasu dostawali zasilek... O bliskich z nimi kontaktach p. Adama wiemy też stąd, że przywoził i nauczył nas pierwotnych wersji piosenek: „Czerwone maki”, „Szturmówka”, „Deszcz jesienny” itd. Sam był muzykalny, lubił także tańczyć, pożyczył więc od kolegi patefon i kilka startych płyt (m.in. piosenki lwowskie!) i tak, męcząc się zapewne, nauczył naszą trójkę tańczyć tango, walca i fokstrota, co dało nam wszystkim dużo radości, tym bardziej że „sala balowa” miała 5 x 6 m i naokoło stołu prycze itp. Przywiózł też p. Adam z lasu mocno zaziębnionego chłopca Mietka K., którego moja mamusia wykurowała. Był miły, pięknie rysował. Po tygodniu wrócił i podobno zginął.



W 1944 roku miałam też nieprzyjemny kontakt z „narodem panów”, który to 14-latki wykorzystywał do pracy na rzecz zagrożonej III Rzeszy. Dostałam wezwanie, które zlekceważyłyśmy z mamą, następnym razem zostałam jednak doprowadzona do pracy – było to w knajpie „Nur fur Deutsche”, gdzie miałam obierać kartofle, cebule itp. Po paru godzinach płakałam nie tylko z upokorzenia – tej cebuli było kilka koszy, a ja jedna. Po przerwie obiadowej nie wróciłam (za radą poczciwej kucharki), tylko obiegłam zaprzyjaźnionych lekarzy, którzy na podstawie zawsze chorych uszu (miałam 9 wrzodów w uchu środkowym!), przebytego tyfusu i szkorbutu wystawili mi takie zwolnienie, że nigdy już więcej nie musiałam pracować dla Niemców. Małym epizodem było jednodniowe kopanie okopów w lasku koło Głodówek, gdzie zagarnięto z pracy mamusię. W następnych dniach towarzyszyłyśmy jej z Danka, aby pomóc w dźwiganiu ciężkich gałęzi i pochodzić po lesie – wszyscy się objęli i... opijali, bo z dała zaczęły dochodzić dla nas miłe, dla wroga przerażające, odgłosy – był chyba listopad lub grudzień 1944 roku i od Wschodu nadchodzili... Nasi!

Po 10 stycznia 1945 roku huk dział od strony wschodu był tak silny, że zwłaszcza u nas, na górze, szyby drżały, a niektóre pękały. Ze szpitala przybiegł wieczorem, bodaj 13 stycznia, kuzyn Witek, zapraszając w imieniu siostr do schronu w piwnicach szpitala. Mamusia się wahała, ale gdy huk się zbliżał i widać było błysk lecących pocisków – ubraliśmy się szybko i z zawiniątkami z pościelą na plecach pobiegliśmy na przełaj przez pole. Była chwila ciszy, ale nagle zamarłam z przerażenia, widząc padający tuż przed mamą pocisk. Na szczęście zarył się w bruzdach i nie wypalił!

Do piwnic szpitalnych, które miały stare, bardzo grube mury, sprowadzono część pacjentów, przy pozostałych czuwały siostry i lekarze. Obok dużego pomieszczenia, gdzie nas ulokowano, zaimprovizowano sale operacyjną i zabiegową. Przydała się już następnego dnia, bo choć na Miechów podobno spadły tylko dwie bomby, jedna z nich zabiła mamę Oli K, mojej koleżanki, druga ciężko zraniła w rękę młodego komendanta Straży Pożarnej. Konieczna była amputacja ręki do łokcia. Z braku personelu medycznego, ciocia instrumentariuszka zaangażowała mnie do pomocy i asysty przy chirurgu dr. D. Było to bardzo korzystne dla mnie, ponieważ musiałam przełamać strach, wychodząc z piwnicy po środki opatrunkowe. W schronie tymczasem zapanowała groza, gdy ktoś przyniósł wiadomość, że Niemcy wcześniej podminowali teren szpitala. Pamiętam dramatyczne zbiorowe modły i śpiew Antyfony „Pod Twoją obronę”. Ksiądz spowiadał, ludzie płakali. Na szczęście złowroga plotka nie sprawdziła się, a w nocy usłyszeliśmy huk i zobaczyliśmy płomień – to uchodzący Niemcy wysadzili w powietrze młyn „Marymont” w pobliżu szpitala. Zboże płonęło wielkim płomieniem, a mieszkańcy próbowali coś z tego uratować.

Nazajutrz, 15 stycznia 1945 roku, do Miechowa od strony Skalbmierza i Kaliny przy trzaskającym mrozie wjechały pierwsze czołgi z czerwonymi gwiazdami – nasi wyzwoliciele.

Dla nas skończył się koszmar niemieckiej okupacji, nadchodziła nadzieja na powrót do rodzinnych stron i zobaczenia bliskich. Ale to już inna – powojenna historia.

## Epilog

W 1945 roku gościnnie Miechów zaczął pustoszeć, wyjechała w swe strony większość znajomych i przyjaciół ze Śląska, Poznania, Pomorza. Zostali tylko wydziedziczeni Lwowiacy i... my. Rekonesans dokonany tuż po wojnie w Zagłębiu zasmucił nas i rozczarował ogromnie. Z aresztowanych kilkuset członków OOB (weszła w skład AK!) wróciło zaledwie paru – tatusia przyjaciół ścięto na gilotynie we Wrocławiu w 1943 roku.

Mamusia nie znalazła żadnego oparcia ani pomocy, a próbując uzyskać rentę wdowią, doznała wielu upokorzeń. Znow nie mogła w Dąbrowie dostać pracy, a nawet naszą dawną kopalnię „Flora” przeniesiono do Miechowic k. Bytomia; tam też pojechali dawni, a ocaleni sąsiedzi.

Postanowiliśmy pozostać w Miechowie, sprowadzając niedobitki rodziny i meble. Wkrótce umarł dziadzius i od roku 1946 jedynym „mężczyzną” w rodzinie został mój niespełna siedmioletni brat. Ciocie były inwalidkami, babcia ciężko chora. Nasza bohaterska mamusia podjęła trud opieki nad całą rodziną, pracując jako sekretarka w gimnazjum i podejmując różne dodatkowe prace. Przyplącała to ciężką chorobą serca i przedwczesną śmiercią.

...Zadnych „bezpośrednich represji” ze strony Niemców nie doznałam...

## Moja wojenna nauka

Po zamknięciu szkoły w roku 1939 przy pomocy rodziców i koleżanek przerobiłam program II klasy, tak więc po aresztowaniu taty i przeniesieniu się do Dąbrowy Górniczej udało mi się „przeskoczyć” jedną klasę i zdać do klasy IV Oczywiście uczono i tu według niemieckiego programu, czyli podstawowej matematyki, czytania i pisania, ale nasi nauczyciele potrafili nawet na lekcjach śpiewu

i gimnastyki wpajając w nas i utwierdzać patriotyzm. Pamiętam na przykład do dziś „klasówkę” pt. „Mój ulubiony bohater”, po której spaliliśmy teksty na ognisku. Pamiętam też tekst, autorstwa chyba naszej wychowawczynie, pani Augustyn: „...a jesień, patrząc w nasze oczy zasmucone, czyta w nich nadzieję mimo wszystko – nadzieję wiosny, która przecież przyjdzie!...”.

Sens tego przesłania zrozumie tylko ten, kto przeżył wówczas jak my, ponurą jesień i zimę pełne niemieckich represji w Zagłębiu.

Po śmierci ojca w obozie i mojej ucieczce kontynuowałam po przerwie naukę w Miechowie w klasie V i VI. I tu wspominam najmilej lekcje polskiego z panem S., który czytał nam wiersze swoje i... mojego tatusia (dostał od sióstr i tak cudownie umiał i miał odwagę rozmawiać o Polsce w okupowanym kraju!).

W klasie VI oczywiście nie mogło być historii i geografii i wtedy to, znów przy pomocy Organizacji (AK?), skierowano mnie na tajne lekcje do pani P. Razem z córką ich Basią było nas w klasie szóstej czworo, i tak po roku, rezygnując już z nieobowiązkowej klasy siódmej, przeszliśmy gładko do... gimnazjum, czyli w ręce i pod opiekę profesor T., zwanej „Ciotką”. Tu już obowiązywała pełna konspiracja: nie nosiło się żadnych notatek, za to bardzo chętnie, rzetelnie i skutecznie opanowaliśmy wszystkie zakazane przez wroga przedmioty. Do dziś pamiętam całe teksty z historii, dopływy Bugu i Dniestru oraz najlepiej łacinę i początki języka francuskiego. W tej samej willi na piętrze odbywały się lekcje starszych klas i nierzadko widywaaliśmy kolegów gdzieś „z terenu” w strojach a la „Jędrasie” – jak się po wojnie okazało, to rzeczywiście dochodzili „chłopcy z lasu”, zwłaszcza na egzaminy.

Moje najmilsze koleżanki z ówczesnej „Pentarchii” to: Dzidka W., Roma L. i dwie Basie P. i S. Każda zresztą z innej strony Polski: Lwów, Poznań, Warszawa, Zagłębie. Wracaliśmy pojedynczo, ale potem spotykałyśmy się na 2-3 godziny dziennie, aby wspólnie przypomnieć sobie lekcje ewentualnie z jednego podręcznika pouczyć się łaciny lub francuskiego. Pod koniec roku szkolnego wydarzyło się okropne nieszczęście: gestapo zamordowało syna profesorki, Władzia – porucznika AK, wracającego z lasu, a naszą kochaną, zrozpaczoną „Ciocię” aresztowano. Wypatrzyłyśmy z ukrycia, gdzie pochowano pana Władka i naniosłyśmy kwiatów polnych. Śledziło nas Hitler Jugend. Panią T. wypuszczono, ale lekcji już nie podjęła, przekazując nas po wakacjach 1944 roku do innych profesorów. Ja znalazłam się u poznanych wcześniej przez mamusię dyrektorstwa Ł., gdzie wraz z ich córką, Danka i dwoma kolegami zaczęłam program klasy II gimnazjalnej. Dyrektor „Papcio” uczył nas matematyki, łaciny i ..niemieckiego, jego żona, p. Halina – pozostałych przedmiotów. Muszę przyznać, że teraz już nie traktowaliśmy nauki tak serio. Być może przyczyną był zbliżający się front i nadzieja na rychły koniec wojny, drugi powód to rodzinna atmosfera domu Danusi i jej cudowny ogród z sadem. Pod pozorem pomocy w zbiorach nasza czwórka (ja, Danka, Jaś i Staszek chętnie wagarowała, buszując po rozległym przyszkolnym terenie. Zdarzyła się jeszcze rewizja, a właściwie nalot Niemców w poszukiwaniu młodych ludzi do kopania okopów, ale to przeżyliśmy szczęśliwie, leżąc parę godzin w bruzdach kartofli. Było wesoło, gdyż zaopatrzyliśmy się w orzechy i owoce, a profesor Z. (szwagier Dyrca) opowiadał lwowskie kawały.

Ze świadectwem z... ukończonych dwu klas gimnazjum po tzw. wyzwoleniu zostałam przyjęta do trzeciej klasy gimnazjum ogólnokształcącego, które ukończyłam maturą z wyróżnieniem. Wspominam o tym dlatego, iż uważam ten sukces za zasługę moich wojennych nauczycieli, którzy często z narażeniem życia wpajali w nas nawyk sumiennego i chętnego uczenia się.

